

XVII Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej
Kozienicki Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka – KOZIENICE 2019
Maria Kocot – kategoria dorośli – proza – I miejsce

Godło: Julia

Dotyk Anioła

- Madame Ganthier, możemy już zacząć? – młody redaktor przechadzał się nerwowo po studiu nagrań, poprawiając malutkie okulary, w modnych złotych oprawkach. Ekipa nagrywająca reportaż czyniła ostatnie przygotowania. Wtem na fotelu zasiadła staruszka o stalowoszarych oczach.

- Zatem chcecie państwo pozamawiać o moich dokonaniach jako chirurga?

- Tak, madame, to dla nas zaszczyt, gościć w studio, tak znamienitego lekarza. Pani „złote ręce” uzdrowiły tak wielu...

- „Dotyk Anioła”? Czy tak? Tak brzmi tytuł reportażu? – kobieta uśmiechnęła się lekko, jakby z przekąsem. – Ach, wy młodzi, wy naprawdę niczego nie rozumiecie...Naprawdę...

Redaktor zmieszał się przez chwilę, biorąc zaskakujące słowa wiekowej damy za domenę jej wieku.

- Dobrze wiec, moi mili. Zaczynam moją opowieść. W roku 1937 rozpoczęłam studia medyczne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pochodziłam z bajecznie bogatej rodziny o żydowskim pochodzeniu. Mój ojciec, czcigodny Izaak Bauman należał do śmietanki towarzyskiej Krakowa. Trudno się dziwić, że o przyjaźń ze znakomitym chirurgiem zabiegał każdy Krakowianin. Zawsze podziwiałam ojca, a on, z racji tego, że nie miał syna, pragnął przekazać wszystko co ma, właśnie mnie. Tatko zamarzył sobie, iż przejmę jego zawodową spuściznę. Odkąd pamiętam, od najmłodszych lat asystowałam mu przy operacjach.

- Julia będzie znanym chirurgiem – słowa ojca przewijały się przez całe me życie, przylgnęły do mnie tak mocno, że nie wyobrażałam sobie innego scenariusza. Nawet sama przed sobą nie przyznawałam się, że na widok krwi zbiera mi się na torsje. W ukryciu malowałam. Pejzaże, portrety służby, moje własne i rodziny. A płótna przechowywałam w skrzyni zamykanej na złoty klucz, który zakopałam w ogrodzie. Potem całymi dniami przesiadywałam z nosem utkwionym w książce z anatomii i zgłębiałam tajemnice ludzkiego ciała.

W czerwcu trzydziestego dziewiątego udało mi się zdać pomyślnie wszystkie egzaminy. Latem wstąpiłam do wakacyjnego rajku, spędzając błogie chwile w naszej nadmorskiej willi w Żegiestowie. Pierwszy września jakby kurtyną oddzielił moje życie od tego nowego, które zgotował dla mnie los. Człowiek z zabawnym wąsikiem objął zachłannymi rękami całą kulę ziemską, w tym i mój mały świat. Przestaliśmy być nagle wielkim państwem Bauman, a staliśmy się szczurami, pluskwami, które należy tępić. Ojciec sprzedał dwa Kossaki i opłacił nam kryjówkę na strychu, w domu swojego asystenta.

- Mogę was przechować tylko na chwilę. Panie profesorze, każdy teraz boi się o własne życie – nasz dobroczyńca nie dawał nam złudzeń, że jesteśmy u niego bezpieczni.

Pomimo tego udało nam się przeżyć w ukryciu trzy lata. Trzy długie lata...Nie wiem, kto nas zadenujował. Może sąsiadka czegoś się domyślała? A może asystent ojca uznał, że nie warto ryzykować dla nas życiem? Pewnej nocy, tatko szarpnął mnie mocno za rękę:

- Julio, ubierz się szybko, „nakryli” nas!

Do dziś zastanawiam się, czy możliwe jest zmierzenie klęski nadziei? Nie, moja nadzieja wtedy nie umarła, dalej żyła, jak ja skulona w kłębek. Na cóż byłam im potrzeba? Ja zwykła młoda dziewczyna rzucona w wir wojny? Czy coś by utracili, gdyby pozwolili mi przeżyć?

A tymczasem żołnierz w zielonym mundurze i wysokich butach z cholewami przeniósł mnie błyskawicznie w inny świat: „Alles heraus! Nic wam nie zrobię, przydzielamy was do pracy. Schneller, macie tylko posłusznie wykonywać rozkazy!

- Może to prawda? – uczepliłam się wtedy tej nadziei.

Posłusznie wsiedliśmy do ciężarówki, a mój tato wciąż powtarzał jak modlitwę: „Wir sind Polen, wir sind alle Polen. Wir haben Papieren”. Nagle zamilkł. Podniosłam oczy. Tamten Niemiec uderzył go z całej siły pejcem. Twarz ojca... czy mogłabym zapomnieć...? Zbita, pokrwawiona, oczy zwężone z bólu, za rozbitymi okularami. Nawet nie wiem, kiedy dotarliśmy na Umschlagplatz. Mój mózg w imię samoobrony instynktownie wypierał najgorsze myśli. Przez całą noc czekaliśmy na pociąg w pełnej podświadomości, co oznacza „przydział do pracy”. Musieliśmy siedzieć nieruchomo na asfalcie, a każdy nawet najmniejszy ruch oznaczał kulę w łeb. Niemców najwyraźniej bawił nasz strach, bo przechodząc obok przerażonej kolumny osób, wybierali, kto ma im oddać kosztowności czy pieniądze. Siedziałam cichutko z oczyma spuszczone ku ziemi, mając nadzieję, że nie zwrócę niczyjej uwagi. Gwizd nadjeżdżającej lokomotywy przerwał esesmańską zabawę. Znaleźliśmy się w wagonie. Ludzie przepychali się łokciami, starając się znaleźć najdogodniejsze miejsce. Nikt się nie litował. Każdy walczył...walczył o miejsce obok małego zabitego kratami okienka. Trofeum stanowił każdy centymetr miejsca. Jedni dusili innych swoim ciałem. Najsilniejsi przechwytywali butelki z wodą, które wrzucali po drodze litościwi Polacy. Stałam w tym stosie ludzi. Nie, nie ludzi. Troglodytów walczących o przetrwanie. Nagle pociąg stanął. Była noc, niebo rozgwieżdżone nie zdołało ochronić nas swoją ciemnością.

- Aufsteingen! – usłyszeliśmy.

Odpłombowano wagony. Ludzie czując świeże powietrze przepychali się do wyjścia. Upadłam. Wtem ktoś podeptał mi twarz, oczy, nos. Zaczęłam walczyć, jak tamci, wyszarpując się nadludzką siłą z tego stosu. Wyrwałam komuś płaszcz i okryłam się nim. Udało się, wydostałam się na zewnątrz. Nagle zdałam sobie sprawę, że nie widzę ojca. Próbowałam krzyczeć, ale coś ścisnęło mnie za gardło. Stałam w błocie. Niemcy oddzielali siłą kobiety od mężczyzn. Rozpoczęła się selekcja. Prawo-lewo, prawo-lewo. Kiedy nadeszła moja kolej, nakazano mi udać się na prawo. Nie wiedziałam wtedy, że wskazano mi życie. Nagle, moje oczy wypatrzyły w tłumie tatkę. Szedł powoli, utykając w przeciwnym do mojego kierunku. Na chwilę nasze oczy spotkały się. Po raz ostatni...

Tymczasem moją rzeczywistością stały się rzędy murowanych baraków, wieże wartownicze i druty kolczaste naładowane prądem i dziwne postacie o zgolonych włosach, odzieży bez koloru, zabłoconych, olbrzymich, drewniakach na nogach. Niebawem stałam się jedną z takich postaci. Sformułowałam sobie nowy kodeks działania, w którym pierwszym i najważniejszym obowiązkiem było przeżyć. Za wszelką cenę. W tym celu zaczęłam dobrze orientować się w prawach tego piekła: należało nie zwracać na siebie uwagi, dobrze orientować się, która aufajzerka mniej bije i wreszcie gdzie zdobyć łyk wody. Jednakże szczęście uśmiechnęło się do mnie. Któregoś dnia, na porannym apelu, esesman rzucił do nas cierpko:

- Jeśli jest wśród was lekarz, wystąp!

Zrobiło mi się ciemno przed oczyma. Zaliczyłam dwa lata na Akademii Medycznej...Asystowałam przy operacjach...Taka okazja może się już nie zdarzyć...

- Ja! Ja jestem lekarzem! Chirurgiem! - usłyszałam swój pewny głos.

- Numer 119934 za mną! – odrzekł esesman, prowadząc mnie w stronę obozowego szpitala.

„Blok 10” – moje oczy odczytały napis budynku, który wkrótce miał stać się moim piekłem. W pomieszczeniu zobaczyłam coś, co przypominało aparaty rentgenowskie. Były to okazałe maszyny z wielkimi cylindrami. Ale to nie one zwróciły moją uwagę. On stał odwrócony do mnie plecami. Przypominał swą sylwetką greckiego boga w czystym, nienagannie

wyprasowanym mundurze. A kiedy udało mi się ujrzeć jego twarz, uderzyły mnie w niej regularne rysy twarzy.

- Wygląda jak amant – przeszło mi przez myśl.

- Doktor Josef Mengele – rzucił do mnie niedbale, na co spuściłam onieśmiewioną oczy.

Nie widywałam go zbyt często. Pozostawał dla mnie zagadką. Jednak kiedy spostrzegłam, że niesie dzieciom czekoladę, a jeden z maluchów zwie go „wujkiem”, przez chwilę miałam nadzieję, że przysięga Hipokratesa obowiązuje i w Auschwitz. Potem zniknął mi z oczu na kilka dni. W tym czasie miałam zajmować się ciężarnymi kobietami. Jedną z nich okazała się Ruth. Było w niej coś niezwykle świeżego, niewinnego... Polubiłam ją bardzo. Codziennie trzymałam ją za rękę, jakbym chciała pokazać, że komuś na niej tutaj zależy. Pewnego dnia Ruth zaczęła krwawić.

- Proszę zrobić wszystko, żeby dziecko przyszło zdrowe na świat – usłyszałam polecenie od doktora Clausenberga, obozowego lekarza.

- Pomóż mi, proszę – cichy jęk Ruth powodował, że miałam ochotę walczyć o nią z całych sił. Ale moja prawdziwa walka dopiero miała się zacząć. Wygrałam pierwszą bitwę, kiedy po mistrzowsku wykonałam cesarskie cięcie. Zwyciężyłam. Tatko byłby ze mnie dumny.

- Już po wszystkim – szepnęłam do Ruth.

I wtedy zjawił się on. Wyprostowany i dumny rzekł uprzejmie:

- Proszę obwiązać kobiecie piersi bandażami. Nie wolno jej karmić tego dziecka.

Przetarłam oczy ze zdumienia. A później trzęsłam się jak w febrze. W tej chwili wszystko zrozumiałam. Następnego dnia przyniosłam tamtej kobiecie strzykawkę z morfiną.

- Nie mamy wyjścia, zrób dziecku zastrzyk.

Zrozpaczona kobieta wykonała moje polecenie. Już więcej jej nie zobaczyłam. A potem byli ci dwaj bliźniacy – Tomcio i Olek. Jeden z nich miał na policzku czerwoną bliznę w kształcie róży. Nigdy jej nie zapomnę. Na ich widok Mengele zawsze się rozpromieniał. Traktował ich jako cenny materiał do badań genetycznych. We wtorki i w czwartki kazał mi robić im zastrzyki. Początkowo nie miałam pojęcia, co aplikuję tym dzieciom, ale potem zorientowałam się, że są to zarazki tyfusu. I wie Pan co? Ryzykowałam wiele, ale zamiast tych zarazków, wstrzyknęłam im trochę krwi. Mengele kazał mi obserwować dzieci i zapisywać wszystko w notatniku. Oczywiście, nic niepokojącego się nie działo.

- Można ich odesłać. Nie są już potrzebni – znowu zaryzykowałam. I znowu się udało. Mengele skinął niedbale ręką na znak zgody. Wygrałam. Ocaliłam dwa życia w tym piekle. Dwa niewinne życia. A każde z nich stanowiło dla mnie sto procent. Potem ten bydlak nakazał mi wykonywanie różnych operacji. Operowałam wyrostki, wykonywałam cesarskie cięcia. Wszystkie zabiegi zakończyły się sukcesem. Tak wiele udało mi się zrobić. Tylko...tylko...

Starsza pani przerwała. Głos ugrzęzł jej w gardle...Zaszlochała i ukryła głowę w starych, pomarszczonych dłoniach...

- Wody, wody – zawołał nagle redaktor. – Madame Ganthier, może chciałaby Pani przerwać?
CISZA

Po chwili seniorka otarła łzy i kontynuowała swą opowieść:

- Czasami stawałam się wielką przegraną, jak wtedy kiedy Mengele kazał mi asystować przy sterylizacjach, które dokonywał za pomocą substancji chemicznych...Przepraszam tak ciężko mi o tym mówić, nawet po tylu latach...Wie pan, to było takie okropne, te kobiety cały czas wymiotowały...A ja...nie mogłam nic zrobić...I pomyśleć, że przed wojną brzydziłam się krwi. Teraz krew, płacz i rozpacz stały się mą codziennością. Byłam tam. Oddychałam tym życiem. Życie i śmierć. Miłość i nienawiść. Rozpacz i radość, kiedy udało mi się uratować choćby jedno życie. Pewnego dnia przywieźli taką Judytę z Łodzi. Rana na nodze strasznie ropiała, kobieta cały czas gorączkowała. Udało mi się wykraść dla niej sulfonamidy. Nie wiem, jak to się stało, że pod jej ubraniem znalazłam kawałek kartki i farby. Nie zdążyłam jej

zapytać skąd to ma, bo wieczorem już nie żyła. Ale kartka i farby pozostały. Moje stęsknione dłonie zaczęły malować jak oszalałe...Postał portret jakże cenionego przed wojną kardiochirurga...Tatka...

- Was machst du? – słowa Mengele przywróciły mnie do rzeczywistości niczym smagnięcie biciem.

Przerażona zorientowałam się, że patrzy na moje dzieło.

- Piękne – rzekł nieoczekiwanie. - Od dzisiaj będziesz wykonywać takie portrety dla mnie. Chcę mieć podobizny moich pacjentów.

Wtedy zaczął się dla mnie nowy rozdział obozowego życia. Oprócz pełnienia funkcji lekarza, zostałam portrecistką. Przydzielono mi akwarele i nakazano malowanie portretów Romów, przeznaczonych do pseudonaukowych eksperymentów. Zdawałam sobie sprawę, że moje umiejętności są przepustką do ocalenia mojego życia. Jednakże ani esesmańskie porcje jedzenia ani wygodne łóżko z wykrochmaloną pościelą, jakie mi przydzielono, nie dawały mi zadowolenia. Czułam się winna. Nie, nie tylko dlatego, że nie potrafiłam pomóc tym wszystkim biednym ludziom, nie tylko dlatego, że nakazano mi używać ukochanych farb w haniebnym celu...Ja...ja nie mogłam znieść, że czuję się najedzona, czysta, a oni wokół...mrą jak muchy. Nie wiem dlaczego nakazano mi sportretować młodego mężczyznę z ropiejącą raną na policzku. Nie pasował zupełnie do ofiar Mengele. Kiedy zanurzyłam pędzel w wodzie, odezwał się do mnie nieoczekiwanie:

- Walcz kobieto, walcz tym pędzlem...

Nigdy więcej już go nie zobaczyłam, jednak jego słowa dały mi sporo do myślenia. W środku nocy przyszło olśnienie! Ja muszę oprócz rozpaczliwej próby ratowania ludzkiego życia, dokumentować pędzlem wszystko, co tutaj widzę. Muszę dać świadectwo. Przecież za kilkadziesiąt lat nikt nie uwierzy w to, co tutaj się dzieje.

Następnego dnia rozpoczęłam malowanie mojego dzieła. Nazwałam go w „Zbeczesczenie”. Uwieczniłam na nim worki włosów z zaznaczoną w kilogramach wagą, przed wysłaniem do Niemiec. Potem namalowałam przeraźliwie chudą kobietę zgiętą w pół od płaczu, trzymającą w dłoniach dwa małe buciki, każde z nich nie do pary... A później namalowałam jego. Był piękny jak zawsze, dumny i wyprostowany, a obok niego stała para bliźniąt, małych ofiar, przeznaczonych do jego szatańskich badań...Pracował przy swoich pseudoeksperymentach. Tymczasem czas płynął nieubłaganie. W dzień starałam się jak mogłam ratować od nieuchronnej śmierci pacjentów Mengelego, lecz gdy zapadał zmierzch, malowałam w ukryciu. Stawałam się nie tylko artystą, ale i badaczem zbrodni.

Dzień wyzwolenia obozu przywitałam z obojętnością. Ja już po prostu nie miałam siły się cieszyć. Obóz odarł mnie ze wszystkich uczuć. A poza tym zupełnie nie wiedziałam co z tą odzyskaną wolnością zrobić...Wróciłam do Krakowa, ale tam nie czekał na mnie nikt...Nikt...Zatrudniłam się jako sanitariuszka w okolicznym szpitalu, a za zarobione pieniądze opłacałam stancję. Udało mi się ukończyć z wyróżnieniem Akademię Medyczną. O tym, czy zajmowałam się w obozie nie szepnęłam nikomu ani słowa. Tylko na dnie starej walizy wciąż leżały dowody tamtych zbrodni...Ja jednak nie potrafiłam na nie patrzeć. Wykasowałam z pamięci wszystko, co tam przeżyłam. Wkrótce zaczęłam pracę jako chirurg. Moje zdolności zostały zauważone i zaproponowano mi wyjazd na stypendium naukowe do Paryża. Tam poznałam mojego męża, Pierra, tam zrobiłam również oszalamiającą karierę jako lekarz...Nicią łączącą moje dawne życie z tamtym, jakie zaczęłam wieść były poślizgnięte obrazy...

Leżały w tamtej walizce chyba z dobrych kilkanaście lat. Latem pięćdziesiątego dziewiątego wyjechaliśmy z Pierrrem w podróż do Argentyny. I wtedy to się stało. To był raptem ułamek sekundy, ale byłam pewna, że widzę jego. To był on. To musiał być on. A potem zniknął mi z oczu.

- Widziałam Mengelego – szepnęłam do Pierra, jednak nie uwierzył mi.

Tamtego dnia nadałam przesyłkę. Równiutkim pismem wpisałam adres Międzynarodowego Trybunału Wojskowego. Do koperty włożyłam moje obozowe prace. Dowody tamtej zbrodni. Tylko nadawcy nie wpisałam. Stchórzyłam. Nie potrafiłam się ujawnić. Aż do dzisiejszego wywiadu.

Tak, moi mili... Tyyle lat, tyyle lat minęło, a ja wciąż nie potrafię wybaczyć sobie, że nie potrafiłam pomóc tym wszystkim ludziom... Że zrobiłam zbyt mało...

Starsza pani zaczęła szlochać gwałtownie, przyciskając pomarszczone słońce do twarzy.

- Madame Ganthier – redaktor, odsunął ręce z twarzy seniorki. – Zrobiła pani wszystko, co w jej mocy. Teraz to my chcielibyśmy dokończyć pani historię.

Nagle rzekł:

- Proszę wprowadzić gości.

Do studia weszło kilkanaście osób. Kiedy pani Ganthier dobrze się przyjrzała, okazało się, że są to dwie trzypokoleniowe rodziny. Kilkoro malutkich dzieci słodko szczebiotało. Ale to nie w nich utkwiał wzrok starszej pani. W tej gromadzie jej oczy wypatrzyły dwóch mężczyzn. Byli identyczni. Tylko jeden z nich miał taką śmieszoną bliznę w kształcie róży...